OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 3 Maja 1865 roku.

Nr 18. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

KOŚCIÓŁ ŚWIĘTEGO JURA WE LWOWIE.

Na zachodnim krańcu obszernéj okolicy, w któréj starożytny gród dawnéj Rusi-Czerwonéj swobodnie



Kościół Świętego Jura we Lwowie.—(Wycięto w drzeworytni Wiedeńskiéj Waldheima).

się rozłożył, wznosi się pasmo niewielkich pagórków, spadzistszych nieco ku stronie grodu, niż ku zachodowi, gdzie się powolnie, w rozległe błonia Grodeckiego i Janowskiego przedmieścia roztaczają. Na jednym z tych wzgórków, najbardziéj ku zachodowi położonym, wznosi się piękny kościół świętego Jura. Przecudny widok zachwyca ztąd oko. Stary gród Lwa kornie schyla swe czoło, przed przybytkiem swego patrona, i losy swe zda się złożył pod opiekuńcze jego skrzydła; w głębi miasta piętrzą się niemałe pagórki, ze szczątkami gruzów Wysokiego-Zamku, na którym ząb czasu dotkliwe wyrył piętno, a który dziś zowią górą Franciszka-Józefa. Lecz dzieje i tradycja mają niezaprzeczone

swe prawa, toż we Lwowie wszyscy znają i zwiedzają Wysoki-Zamek i przytykającą do niego górę świętego Wojciecha.

Nim przystąpimy do szczegółowego opisu kościoła świętego Jura, chciejmy tu wspomnieć choć pobieżnie, o dawniejszych jego dziejach. Poczynają się one w ostatnich dziesiątkach wieku XIII, około roku 1280, w którym to czasie, według opisów kronik spółczesnych, książę halicki, Lew, dla wyznawców reguły św. Bazylego, mianowicie dla jednego z tych wyznawców, dla jakiegoś kniazia Wasylka, w bukowym lasku tego samego miejsca, w którym dziś stoi kościół św. Jura, monaster założył. Wiadomość ta pewna i niezaprzeczona, otrzymała w bujnéj wyobraźni Zimowicza i idących za nim bajarzów, znakomitą okrasę. Niemogąc okazać, kto był ów kniaź Wasylko, zrobiono go stryjem (założyciela monasteru świętojurskiego OO. Bazyljanów) kniazia Lwa halickiego; kazano mu postrzydz się na czerńca, pokutować za krwawe czyny, jakich się w wojennym swym zawodzie dopuścił i tamże życie dokończyć.

Tymczasem, poucza nas latopis Lipacki, że stryj kniazia Lwa, a brat króla halickiego Daniela, Wasyl, był kniaziem Włodzimierskim, że nie był wyznawcą reguły św. Bazylego, i że nigdy nie mieszkał we Lwowie. Skrzętny badacz dziejów ojczystych, kanonik kapituły metropolitalnéj lwowskiéj, Pietrusiewicz, wydobył na jaw prawdę baśniami kronikarzy spaczoną, i okazał, że wzmiankowany powyżéj kniaź Wasylko, był synem Wasyla Włodzimierskiego, że istotnie był pustelnikiem monasteru lwowskiego Bazyljanów, i aż do roku 1290 przełożonym tego zgromadzenia.

Pierwiastkowy kościół św. Jura, nie jaśniał ani budową ani dostatkami, co oboje bardzo naturalne; ani bowiem oświata ówczesna mogła wymagać po kniaziu Lwie arcydzieła architektury, ani zasoby jego materjalne wyposażyć monaster i kościół skarbami i dostatkami. Zbudowano go z drzewa, urządzono i zaopatrzono tak, jak ówczesne stosunki społeczne wymagały i dozwalały.

W takim stanie, przetrwał on przeszło pół wieku, aż do przyłączenia Czerwonéj - Rusi do Polski. W wyprawie Kazimierza Wielkiego na Lwów, naturalnym biegiem wojennych wypadków, zgorzał kościół wraz z monasterem, a na jego miejsce wzniesiono wspanialszy z kamienia. Budował go ten sam Doré, ktoremu zlecono budowę obu katedr łacińskiéj i ormiańskiéj, z czego się pokazuje, że gdy tamte wzniesiono kosztem publicznym, i na kościół świętojurski znaczną musiano przeznaczyć sumę. Przyczyniali się znakomicie do téj budowy igumeni bazyljańscy Eutymjusz, któremu ksiądz Chodynicki w historji miasta Lwowa, każe w r. 1363 dopiero pod nią kłaść fundamenta; również Partenjus, Gedeon i Wawrzyniec, który kościoł ten w roku 1437 ukończył.

Drugi ten kościół świętojurski, przetrwał przeszło trzy wieki, w przebiegu których, wielkie w prawach kościelnych na Rusi pozachodziły zmiany. Skromny monaster Bazyljanów, doznawał szczególnéj opieki króla Zygmunta I-go, który w roku 1522, tamtoczesnego igumena Gdeszyckiego i dalszych jego następców, wyniósł do godności opata, czyli archimandryty, o czem księga fundacji monasteru świętojurskiego Bazyljanów, pod tym rokiem wspomina. Wówczas to licznie na dworze króla Zygmunta przebywająca szlachta ruska, objawiła życzenie wznowienia metropolji halickiéj, która od r. 1361 istnieć przestała. Zygmunt uczynił zadość życzeniom Rusinów, a w roku 1539 tamtoczesny namiestnik metropolity kijowskiego, administrator spraw kościelnych na Rusi, Makary Tuczapski, otrzymał od króla nominacją na biskupa halickiego. Czwarty z kolei biskup halicki, Jan Łopatka Ostałowski, wyjednał u króla Zygmunta I zezwolenie, przeniesienia biskupstwa z Halicza do Lwowa. Ostałowski obrał za nową siedzibę biskupią, kościół Bazyljański św. Jura, i w roku 1570 przez Mikołaja Herburta, wojewodę ruskiego, za przywilejem królewskim, uroczyście na nową stolicę biskupią został wprowadzony. Juryzdykcja biskupów lwowskich, rozciągała się wówczas nietylko na Halicz, ale i na Podole, ztąd też lwowskimi, halickimi i kamieniecko-podolskiemi biskupami się zwali.

Nie tu miejsce opisywać ich usiłowania, około przydania blasku biskupiéj swéj siedzibie; każdy przyczyniał się do tego wedle możności; z wszystkich jednak, jaśnieją największą chlubą imiona dwóch Szeptyckich: Atanazego i Leona, założycieli dzisiejszego kościoła św. Jura.

W wieku XVIII, kiedy katedra lwowska obrządku wschodniego, świetnym cieszyła się bytem i znaczeniem, kiedy majątek kościoła i monasteru Bazyljańskiego, wzmógł się znacznemi darowiznami i zapisami możnych panów ruskich, postanowił Atanazy Szeptycki, trwały téj świetności położyć pomnik. Kazał tedy rozebrać stary kościół św. Jura, zwłaszcza, że przetrwawszy przeszło trzy wieki, znacznéj wymagał restauracji, a w jego miejsce wspaniałą zbudować świątynię. W roku 1746 sam metropolita uroczyście położył pod nią kamień węgielny, komu jednak polecił jéj budowę, niewiadomo. Opatrzność nie dozwoliła mu ujrzeć owocu swego dzieła, bo w trzy lata po jego rozpoczęciu, życie zakończył, zostawiając z majątku swego znaczną sumę, t. j. 116,900 złp. na ukończenie rozpoczętéj budowy.

Szkoda, że budowa ta przypada właśnie w czasie dla architektury najniepomyślniejszym. W dziejach oświaty, wiek XVIII bardzo nizkie zajmuje stanowisko. Ani umiejętność, ani sztuka, nie mogą się chlubić dobrem wówczas powodzeniem; architektura przedewszystkiem chromała nieudolnością. Nie mogąc stworzyć piękna w stylu samodzielnym, klejono je z pojedyńczych odłamków stylu bizantyńskiego, gotyckiego, włoskiego; ztąd też wznoszone w tym wieku dzieła architektury, chociaż na chwilę zajmą naszą uwagę, nie budzą w nas jednak tego wysokiego zadowolenia, jakie nam sprawia widok katedry Sztrasburskiéj, Kolońskiéj lub kościoła św. Szczepana. Wiek XVIII zlepia pojedyńcze, same przez się bardzo piękne cząstki stylów dawniejszych, w jedną całość bezmyślną, dodając, zmieniając lub ujmując wedle potrzeby, i stworzył styl nowy, który najsłuszniéj *roccoco* nazwano.

W takim to stylu, zbudowano dzisiejszy kościół św. Jura. Z perspektywy powietrznéj, przedstawia się nam on w kształcie krzyża; kopułą i ścieśnionemi kolumnami, chociaż w rzędzie pojedyńczym, przypomina nam styl bizantyński. Ostrołukowy fronton zbudowany jest w guście gotyckim, gdy przeciwnie, wnętrze świątyni styl włoski przedstawia. Środkowe sklepienie w kształcie wielkiéj rotundy spiera się na czterech filarach, w guście gotyckim, które łącząc się odśrodkowo, z ścianami bocznemi, tyleż tworzą kapliczek, nakształt kopułek

bizantyńskich. Uzupełniają całą budowę kamienne ganki między filarami wewnątrz, takaż galerja nad facjatą zewnętrzną, upiększona licznemi kolumneczkami bizantyńskiemi. Fronton zdobią wielkie kamienne posągi, papieża rzymskiego z prawéj, a patryarchy caragrodskiego z lewéj strony, z wszelkiemi oznakami duchownéj ich władzy; w pośrodku zaś nad nimi, posąg kamienny św. Jerzego, przebijającego włócznią czarta, a w kamiennych schodach prowadzących do świątyni wykuta grota, mieści posąg św. Onufrego.

Jak wspaniale przedstawia się kościół św. Jura zewnątrz, szczególniéj wjeżdżającym do Lwowa, tak znowu największą skromność i pojedyńczość okazuje nam jéj wnętrze. W ołtarzu wielkim, ani dłuto, ani pędzel, nie zasługują na uwagę. Za to ołtarz poboczny, w prawéj ustawiony kapliczce, sowicie wynagradza inne braki. Jestto cudowny obraz N. Maryi Panny, przeniesiony tutaj w roku 1673 z Trębowli, po spustoszeniu Podola przez Turków. Piękną tradycję o tym obrazie, przechowującą się do dziś dnia w ustach ruskiego ludu, przytacza znany powieściopisarz Jan Zacharjasiewicz.

Obraz ten i dziś jeszsze, jest przedmiotem szczególnéj czci wiernych, czego dowodem liczne wota na nim i w skarbcu umieszczone. Przenajświętsza Panna otrzymała od niejakiego Marcina Szeptyckiego szczerozłotą sukienkę, którą gdy rząd austrjacki w r. 1812 na pokrycie kosztów wojennych zabrał, inny jakiś dobroczyńca zastąpił ją srebrną.

Najcenniejszą ozdobą tego ołtarza, były dwa wota bohaterskiego biskupa lwowskiego, Józefa Szumlańskiego, dworzanina króla Jana III, któremu we wszystkich prawie towarzyszył wyprawach. Są to dwie kule z pod Żurawna i Wiednia, których śmiertelnego ciosu, szczęśliwie uniknął biskup. W pamiętnéj bitwie z Turkami pod Żurawnem r. 1677, jak zwykle towarzyszył królowi Józef Szumlański, nie odstępował go na chwilę, owszem narażał życie swe na największe niebezpieczeństwo. Opatrzność obu ocaliła. Strzał wymierzony przeciw osobie biskupa, położył kogo innego trupem. Kulę tę oprawiono w srebro, zawieszono na takimże łańcuszku przed obrazem Matki Boskiéj Trębowelskiéj, a na tabliczce następujący umieszczono napis: „Turczyn jeden podczas bitwy pod Żurawnem, strzelił tą kulą do osoby Imci Józefa Szumlańskiego, a trafiwszy samego śpiewaczka, za nim stojącego w głowę tą kulą postrzelił, od któréj i umarł, a było to w dzień św. Michała A. D. 1676, przy bytności króla, tamże pod Żurawnem będącego na téj wojnie; dla pamiątki tedy wiecznéj, na obrazie Najświętszéj Panny Namiestnéj u św. Jura w katedrze Lwowskiéj ruskiéj zawieszona."

Drugą pamiątką bohaterskiego ducha biskupa Szumlańskiego jest podobnaż kula, zawieszona jak i poprzednia przed obrazem Matki Boskiéj Trębowelskiéj. Dosłowny napis na umieszczonéj przy niéj tabliczce jest następujący: „Ta kula w walnéj bitwie króla polskiego Jana III pod Wiedniem z Wezyrem i Turkami, postrzeliła księdza Józefa Szumlańskiego w lewe ramię, episkopa lwowskiego, administratora metropolji kijowskiéj, który był *praesens* w téj bitwie, przy boku króla jegomości, w Niedzielę w południe, to jest dnia 12 września 1680 (widoczny błąd rytownika zamiast 1683), a dla wiecznéj pamięci na obraz Najświętszéj Panny Trębowelskiéj lwowskiéj św. Jura katedrze dnia 28 września *anni ejusdem* zawieszona."

Znakomite te pamiątki a ozdoby kościoła św. Jura, aż do roku 1817 w pierwiastkowem swem pozostawały miejscu, przed cudowną Matką Boską Trębowelską. Dopiero w pomienionym roku, kiedy dla pomieszczenia kancelarji konsystorza metropolitalnego i mieszkań kanoników gremjalnych, monaster Bazyljanów przeniesiono do kościoła św. Onufrego, na przedmieściu Żółkiewskiem, nie mogli się oni rozstać z tak drogiemi pamiątkami swojéj przeszłości, i do nowéj swéj siedziby je zabrali, gdzie dotąd pozostają.

Skarbiec kościelny świętojurski, wiele jeszcze innych uwagi godnych zawiera przeszłości zabytków. W zakrystji kanonikalnéj, widzieć można wielką kosztowną miednicę, ozdobioną mnóstwem herbów polskich, bezsprzecznie dar któregoś z magnatów ruskich, monasterowi Bazyljanów świętojurskich uczyniony. Dla archeologa szczególny ona mieć może interes, tak co się tyczy oznaczenia wieku, którego jest zabytkiem, jak i sztukaterskiéj roboty. Prócz kosztownych sprzętów kościelnych, z nowszych już czasów wspomniemy tu nakoniec jeszcze o starożytnym bardzo dzwonie, bo pierwszéj połowy wieku XIV sięgającym. Z napisu ruskiego, dobrze zachowanego, pokazuje się, że dzwon ten w roku 1341, kniaź Dymitr darował monasterowi Bazyljanów świętojurskich. Ma on formę gruszkową, średniéj wielkości, i jest cennym zabytkiem sztuki ludwisarskiéj na Rusi, w wieku XIV.

GÓRAL.

(Myśl z obrazka Gersona).

Bladawe słońce, słońce zimowe,
Jeszcze w obłokach ukrywa głowę,
Jeszcze promienie jasne, złociste,
Nie szlą światełek w krainy mgliste;
Zaledwie świta... A Karpat szczyty,
Olbrzymów czoła—kąpią błękity,
W świetlanem morzu całe pływają,
W słonecznym blasku oczy mięszają:
Jak owe myśli wielkie i święte,
U Boga sercem we łzach podjęte.
Nad ziemi męty wznoszą się w górze,
Srebrnemi gwiazdy, błyszczą w lazurze.
Jako cierpiący anioł litości,
Wokoło rzuca perły miłości...
Wśród świata kału—czysty i biały,
Tęsknota spływa do Bożéj chwały!
Dziś—błękit nieba po nad Karpaty,
Cały owionion w żałobne szaty.
U dołu chmury, jak dymu kłęby,
Szarą oponę rozsnuły wszędy;
Zima białemi śniegu płatkami
Zasłała ziemię; szronu kroplami
Brylantowemi, wciąż drzewa stroi,
To niby ślubny welon dziewoi;
Jako mgła lekki, a przezroczysty,
Świetny jak nieba przestwór gwiaździsty,
Okala dziewczę w rąbek powiewny,
Poważnie piękny, choć dziwnie rzewny.

* * *

Jedną z ścieżynek, co wiedzie z góry,
Zstępuje góral, i jemu chmury
Czarnego smutku czoło obsiadły,
Co się boleścią z serca wykradły.
Idzie powoli... znać mu nie śpieszno,
A może chatę porzucać tęskno?
Choć mu wiatr mroźny burkę rozwiewa,
Lodowym dreszczem ciało oblewa,
Burkę na piersi tuli zbolałéj,
I sunie daléj... głowę wdół skłoni,

Jakoby tęsknéj myśli się broni.
Bo czasem wzniesie do góry oczy,
I łzawym wzrokiem w nieba przezroczy,
Utonie cały, obcy na ziemi,
Goni za braćmi, dziś opuszczonemi.
Oczy górala—to czysta krynica,
Natura, wielka Boża malownica,
Na tło zielonych powoi sploty,
Rozlała czystą łezkę tęsknoty.
Jako w krysztale widno w niéj jawnie:
Co się tam w duszy ukrywa na dnie,
Co się tam iskrą miłości pali!
Czego mu smutno? czego się żali?
Oczy górala—jak stal połyskliwa,
Cienista fala po niéj przepływa:
Łzami niedoli, treścią żywota;
Piętnem górala—wiary nić złota!

* * *

Zabrakło chleba w chacie górala,
Idzie więc szukać pracy w doliny.
Nadzieja smutne serce rozpala,
Że kiedy wróci do swéj rodziny,
To jéj przyniesie tyle pieniędzy,
Zapracowanych codziennym znojem,
Iż ją na długo uwolni z nędzy,
Obdarzy znowu słodkim spokojem.
Ale, nim pracę wynaleźć zdoła,
Zanim zarobi jakiś grosz krwawy,
Chyba Bóg dobry stróża—anioła,
Na pieczy w chacie górala stawi.
Gdy z niéj wychodził, krzyżem ją żegnał,
I krzyż na piersi, wziął tylko w drogę,
Krzyżem już nieraz smutek odegnał;
Czyż przezwycięży dziś krzyżem trwogę,
Jaka mu duszę mgłami obsiada,
Stawiąc przed oczy smutne obrazy,
Jak żona z dziećmi, od żalu biada,
Jak syn maleńki woła sto razy:
„Ojca i ojca?" Tak mimowoli,
Odwrócił głowę, zkąd głos przylata,
A cicho wszędy, lecz serce boli,
I niespokojne w piersiach kołata.
Idzie wciąż daléj—a u figury,
Matki Dziewicy chwilę przystaje;
Raz jeszcze objął spojrzeniem góry,
Marji opiece dzieci oddaje.
Patrzy przed siebie, widne już miasta,
I wsie dalekie nieznanych ludzi,
Kościół wyraźnie wieżą wyrasta,
I dzwon poranny echa gór budzi;
Ten dzwon jakoby głos przyjaciela,
Wlewa otuchę w górala duszę,
Niby go tkliwym słowem ośmiela.
Usta szeptają modlitwę w skrusze.
A dzwon powiada: „idziesz do braci,
Co jak ty chwalą jednego Boga,
Uczciwa praca to wszędy płaci,
Po cóż ten smutek? i na co trwoga?
A więc rozpogódź góralu czoło!
Nie żebrać idziesz, ale pracować;
Kiedy zawołasz—to już wesoło,
„Rądle pobielać," „garnki drutować."



Góral.—(Rysował Gerson—wyciął na drzewie Jan Walter).

DWAJ BRACIA.

(*Ciąg dalszy.*—Ob. Nr. 17).

Kowal, do którego się do terminu dostał Antoś, był człowiekiem pracowitym prawda, ale lubiącym się upijać i awantury potem wyprawiać. Pracował cały tydzień, aby jak najwięcéj pieniędzy zarobił; dzięki téj ochocie, na zajęciu mu nie zabrakło, i zarobek go nie omijał. Ale cóż z tego? I ranne wstawanie i czynność całodzienna, dążyły tylko do téj smutnéj katastrofy święta. W wigilję przed każdym dniem świątecznym, pan majster, po obliczeniu pieniędzy, wpuszczał je zwykle do szerokiéj kieszeni swego surduta, i zabierał się do wyjścia; wtedy żona, kobieta gwałtowna, choć zapobiegliwa i niezła gospodyni, zastępowała mu drogę i krzyczała na całe gardło: „dawaj mi na chleb, na kaszę, na słoninę! muszę zapłacić dług w sklepiku, muszę kupić trzewiki! warjacie! dokąd idziesz! nie puszczę cię z domu! dawaj pieniądze!" Po takiem oświadczeniu żony, chwytał ją zwykle pan majster za włosy, a żona go za nos i zaczynała się bitwa. Pan majster, jako mężczyzna i do tego kowal, pracowity, a zatem silny, zwyciężał zwykle żonę, którą gdziekolwiek zmiótłszy pod ławę, wychodził z nosem rozdrapanym na miasto. Szedł niedaleko, zwykle na róg ulicy, gdzie był szynk żyda Moszka. A że podobne wycieczki, miały miejsce najczęściéj w sobotę, i szynk żyda Moszka był zamknięty, jako w dzień szabasowy; czekał więc pan majster, nadejścia gwiazdy wieczornéj. Chodząc tam i sam, spotykał się z wielu polującemi na toż samo, prowadził z niemi rozmowę, któréj treść odpowiadała życiu—ten się chwalił, że komuś boki wygrzmocił, ten narzekał na ból głowy od ostatniego pobicia, a inny znowu przeklinał brak roboty, żydów, szynkownie, kieliszki, wódkę i... czekał rychło się drzwi szynkowni otworzą, aby się upić. Ale żony ich, nie były względem mężów swoich tak bojaźliwe, jak żona naszego kowala; przybiegały one za mężami i rozpoczynały bój morderczy; ale napróżno: żony nic nie wskórały, prócz ciężkiego pobicia, mężowie popiwszy się, wracali do domu bez grosza. Kowalowa zaś wyczekiwała chwili,

i dopiero później, miarkując, że mąż już upić się musiał, zakradała się do szynku, głaskała męża po policzku, dawała mu jeden jeszcze kieliszek „kimelu z absyntem” i na pół przytomnego do domu sprowadzała. Tu wyjmowała mu nieznacznie pozostałe nieprzepite pieniądze; papierki chowała do pończochy, a za miedź i inną monetę, opędzała potrzeby domowe, spłacała długi.

Zwykle nazajutrz nowa rozpoczynała się bitwa; mąż bowiem sprawdzał u żyda, za ile wypił, wiedział przytem, wiele przy obliczeniu miał pieniędzy; na nic mu się to jednak nie przydało, bo pończocha w największéj chowaną była tajemnicy, a kupionéj słoniny, mięsa i kaszy wyrzucić było niepodobna; notabene, że pan majster i w Niedzielę pijanym być musiał koniecznie na kredyt, którego mu Moszek, bynajmniéj nie wzbraniał. Jeżeli zaś zdarzyło się, że w święto nie był pijanym, mawiał: „A cóż to za święto, a cóż to za dzień okropny! nic w gardle nie miałem!”

Wystawcie więc sobie, kochani czytelnicy, biednego wiejskiego dzieciaka, któremu łzy po matce nie obeschły jeszcze, z oczu pięknych i pogodnych, wystawcie sobie, przerażenie jego i smutek. Traf chciał, że właśnie pierwszy dzień przepędził u swoich pryncypałów w sobotę. Spostrzegłszy ową bitwę okrutną między małżeństwem, prócz tego hałas, krzyk, tłuczenie sprzętów, wrzask dzieci i sąsiadek, łatwo wyobrazicie sobie, ile przelękło się dziecko, które się w tym piekielnym dla niego wertepie znalazło! Oto jest ta nieszczęśliwa namiętność zamieniająca życie ludzkie na zwierzęce i nieszczęśliwe. Nikt przecież więcéj nie miał świętych obrazów po nad łóżkami, nikt lepiéj koronek i różańców nie śpiewał i nie odmawiał, nikt przykładniéj od pana majstra i żony jego przed uprzywilejowanym nie modlił się ołtarzem, nikt serdeczniéj sąsiadów nie kochał i biedzie nie pomagał, bo i ubogiemu grosza nie odmawiali i u ludzi poczciwe mieli zachowanie— a jednak, smutno to pomyśleć — życie ich było ciągłem pasmem: kłótni, bólów i goryczy! Tak to ludzie samochcąc, przez kieliszek wódki tracą całe szczęście, i jak nieboskie żyją stworzenia.



...Spotykał się z wielu polującemi na to samo.—(s. 140, s. 2).
(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Szymborski).

Antoś, przerażony z początku niezwykłym widokiem, zaczął się modlić pocichu i błagać Boga o pomoc. A tak był potulnym, układnym i miłym, że się panu majstrowi odrazu prawie podobał. Biedny chłopczyna spełniał wszystkie jego rozkazy, jakto mówią, co do litery; na posyłkach długo się nie bawił, przy miechu i kowadle serdecznie, a pojętnie pracował. Prócz tego, ku wielkiemu zdziwieniu pryncypała, w każdéj chwili wolnéj nie próżnował, czasu nie marnował—i choć go koledzy lubili, mało się z niemi zabawiał. Natomiast za grosz z wielkim mozołem uzbierany, kupił sobie książeczkę, i na niéj chciał się uczyć. Szło mu to z początku jakoś oporem, gdyż nikt mu nie dopomagał; po długich jednak mozołach, zaznawszy coś od tego i drugiego, tyle dokazał, że i czytać się nauczył i do pisania się zabrał. Pan majster z początku poglądał na to z ukosa, wzruszał ramionami, ale razu pewnego zdarzyło się, że Antoś, pożyczywszy nową książkę od czeladnika, którego łaski sobie zaskarbił, czytał ciekawą a wielce nauczającą powiastkę. Była to Niedziela; pan majster czuł się mocno słabym po sobotniéj hulance, przez cały więc dzień pozostał w domu, leżąc w łóżku, a widząc chłopca, jak kilka nieprzerwanie godzin nad książką schylony, uważnie coś czyta, zapytał się go, nie mając co lepszego do roboty: „a co to czytasz chłopcze?” „A to cudowne historje, proszę pana majstra—odpowie Antoś, tu tyle pięknych rzeczy!” I z temi słowy opowiadać mu zaczął, niektóre urywki z powieści, opisującéj jak to dawniéj walecznie się bili, szczerze pracowali i z czystem sercem Boga chwalili. Pan majster bardzo się zajął tem opowiadaniem, że przez zapomnienie pewno prosił Antosia o odczytanie mu téj powiastki; ten z ochotą spełnił życzenie; pan majster się unosił i bił po stole pięścią z radości, a pani majstrowa płakała z rozczulenia. I któżby to pomyślał, że jeden biedny chłopczyna, wywrze przez szczęśliwe to zdarzenie, tak wielki wpływ na dalsze życie burzliwego, a poczciwego w duszy pryncypała! Któżby oczekiwał, że pan majster do Moszka chodzić nie będzie, przyobiecawszy za to solennie, coraz to nową kupić książeczkę, aby w niéj także piękne znaleźć rzeczy. I dzięki Bogu, ładnych książek znalazło się dosyć, i oboje państwo, coraz więcéj smaku w tem miłem zajęciu nabierali. Dziwnem być może się wyda, że tak prędko przerobił się pan majster, i że tak rychło on, raptus i dojrzały mężczyzna, kieliszek na książkę zamienił; a jednakże, było tak rzeczywiście. Zresztą, jak już powiedzieliśmy, nie był to człowiek zupełnie zepsuty, a hulanki jego wynikały najbardziéj z braku wszelkiego szlachetniejszego zajęcia, w chwilach wolnych po ciężkiéj pracy.

Jak było tak było, dość że pan majster Antosia bardzo polubił, i niemając dzieci własnych, jak o synu o nim pamiętał. Tak przeszło lat kilka; Antoś podrósł, a pan majster coś o wyzwoleniu przebąkiwał. Ale Bóg tak chciał, że życzenia poczciwego majstra nigdy się nie spełniły; zasłabł nieboraczysko z przeziębienia w jesieni, będąc na pogrzebie jednego ze swych znajomych; później cherlać i stękać począł—tak przeszła zima, na wiosnę umarł na suchoty galopujące, a ludzie mówili, że do tego przyczyniła się nie mało dawna pijatyka, bez końca i miary. Antoś stracił w nim życzliwego opiekuna, a żona, pomimo, że pamiętała jeszcze razy, jakie jéj niegdyś zadawał, szczeremi zalewała się łzami i poprzysięgła, że nigdy za mąż nie pójdzie. Ale jak to mówią: „chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi;” skoro

się dowiedziano o pełnéj pończosze młodéj wdowy, wnet ten i ów z goliaszów zaczęli smalić do niéj cholewki. Z początku patrzyła ona na te zabiegi okiem obojętnem, ale wkrótce umizgi stały się jéj miłemi, i ani się spostrzegła, jak jeden z owych galantów poprosił o jéj rękę. Była kobietą, długo namyślać się nie lubiła, a więc, ręka w rękę—zgoda i w rok po śmierci męża, została znowu panią majstrową. Tymczasem Antoś wszystkiem był w domu; on to, choć nie czeladnik jeszcze, dbał jak o swoje własne, o dobro owdowiałéj pani. Pomimo częste krzywdy, jakie mu wyrządzała gawiedź czeladna po śmierci pana, z powodu powagi Antosia nad wiek i stopień, pozostał tam przecie; bo jak mówił, niegodzi się opuszczać w potrzebie domu, gdzie się przez długie lata Boga chwaliło, z ludźmi żyło, i gdzie go jak syna kochano.

Ale nowy pryncypał nie był tak dobrym dla niego; będąc sam ciężkim do pracy, nie mógł spokojnie patrzeć na terminatora, któryby jako na majstra zakrawał. Czyste oko Antosia, było dlań zbyt rażącem światłem słonecznem, w które się patrzeć nie mógł. Szukał więc wszelakiéj sposobności, aby tylko Antosiowi dokuczyć, i władzę mu swoją okazać; bił go za najmniejsze przewinienie, jeżeli słuszną czasem uwagę Antosia, przewinieniem nazwać można było; nic mu prawie do roboty fachowéj nie dawał, używając prawie wyłącznie do posług domowych. Zgryzł się tem młodzieniec i posmutniał, ale na duchu nie upadał; markotno było jednak, że owa pani majstrowa, która widziała niezachwianą jego poczciwość, wcale się za nim nie wstawiała. Nowy pan, a zły i zuchwały, nowy wprowadził porządek; żona tak się go bała, że ani słówka nawet przychylnego za wychowańcem swym nie pisnęła. Żył więc tak z dnia na dzień posmutniały młodzieniec; nie sprawiano mu przyodziewku, suchym kawałkiem chleba często obywać się musiał. Pomimo tego stanu, ukradkiem świeczkę szabasówkę kupował, i po nocach modlił się i czytał; często matkę sobie przypomniał, a obraz jéj unosząc się nad nim jak rajskie rozkosze, usposabiał go do dalszéj wytrwałości. Wzmagała się nienawiść majstra tak, że w końcu postanowił go odpędzić — sposobność wkrótce się znalazła. Przywoławszy go do siebie i czyniąc mu najsroższe wyrzuty, że po nocach czytuje, że nic nie robi, że jest hardy, niezdatny i ciemięga, dodał wreszcie: „albo szukaj sobie innego majstra, albo cię do matki odeszlę; nie potrzebuję ja tu takich mądralów.” Wtedy Antoś, spojrzał mu w oczy z godnością długo tłumionego uczucia pogardy i rzekł: „Chciałem całą duszą służyć temu domowi, do którego dzieckiem wszedłem, i widzę, że za moją przychylność odpłacają mi krzywdą; ale matki zasmucać nie chcę, przy pomocy boskiéj znajdę poczciwszych ludzi, znajdę znośniejszy kawałek chleba.” Tu dopiero odezwała się pani majstrowa, łzy jéj w oczach wystąpiły i ujęła się za wychowańcem, ale napróżno, i w téj właśnie chwili, niewinnie posądzoną była o przeniewierzenie się. Chłopczyna duszę Bogu winien, błędnym spojrzał wzrokiem to na majstrowę, to na pryncypała, ręce załamał i zawoławszy: „o sprawiedliwość!” wyszedł powoli z niewdzięcznego domu, o inne starać się miejsce.

„Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi,” mówi przysłowie. Otóż i o poczciwości Antosia dobrze wiedziano. U pierwszego więc majstra, do którego się udał, tak miłe znalazł przyjęcie, że się aż rozpłakał biedaczysko z radości. Za kilka dni, już pracował z nowym zapałem u nowego pryncypała, który go wkrótce na czeladnika wyzwolił, i zyskał w nim prawdziwego przyjaciela.

Zostawszy czeladnikiem, książki i matki nie zapomniał; do ojca nawet listy pisywał, okazując mu ciągle szacunek. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

PIOSNKA WIŚNI.

Na wiosnę Pan Bóg mówi: „niech zastawią stół dla robaczka!” Natychmiast wiśnia wydaje liście po liściach, tysiące liści świeżych i zielonych.

Robaczek uśpiony w swym domku, budzi się, rozwija, roztwiera usteczka i przeciera zmartwiałe oczęta.

Zaczyna potem spokojnie gryźć listeczki, mówiąc: „Nie można się od tego oderwać, któż mi zgotował taką ucztę?”

Wtenczas Pan Bóg znowu się odzywa: „Niech zastawią stół dla pszczółki!” Wtedy wiśnia wydaje kwiaty po kwiatach, tysiące kwiatków świeżych i białych.

Ranna pszczółka postrzegła je z zorzą, a pierwsze promienie słońca ją tam prowadzą: „Idźmyż na kawę, powiada do siebie; podana jest w tak kosztownéj porcelanie!”

Filiżanki jakie czyste i piękne! Zanurza tam języczek, a pijąc woła: „Rozkoszny napój, nie szczędzono tu cukru.”

Nadchodzi lato, i Pan Bóg mówi: „Niech zastawią stół dla ptaszka.” I wiśnia okrywa się tysiącem rumianych owoców.

„Ha, ha! woła ptaszyna, oto w porę wypada; mam doskonały apetyt: to doda mi nowych sił do skrzydeł i głosu, i będę mogła zanucić nową piosenkę.”

Na jesieni Pan Bóg mówi: „Sprzątnijcie stół, wszyscy są nasyceni.” I zaczyna dąć zimny wiatr z gór, od którego drży drzewo.

Liście żółkną i spadają po jednemu, a wiatr, który je strącił, podnosi znowu, i ulatują same w powietrzu.

Z nadejściem zimy Pan Bóg mówi: „Ponakrywać mi to co pozostało!” I poświsty wiatru sprowadzają płaty śnieżne, i cała natura odpoczywa we śnie.

KRZYSZTOF KLUK.

(WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY ODBYTÉJ PO KRAJU).

(Dokończenie.—Obacz Nr. 14 i 17).

Nazajutrz, na śniadanie przyrządziła dla mnie pani Tymińska bardzo dobrą kawę; przepraszała, że muszę poprzestać na razowym chlebie, bo do Nura jest mila drogi, a bułki żydowskiego wypieku są czarne i niesmaczne. Odpowiedziałem, że chleb razowy z młodem masłem, jest lepszy od wykwitnego ciasta, a cóż dopiero od bułki żydowskiéj.

Mój gospodarz był w polu, i z najstarszym synem kosił wykę; młodszy syn orał, córki i chłopaki pracowały wogrodzie, pani Barbara krzątała się w kuchni. Żeby czas zająć, przeszedłem się po wsi: składała się z kilkunastu domów, dość zaniedbanych; dwa tylko trochę lepiéj wyglądały, a przy nich postrzegłem sady i po kilkanaście ulów; przy innych widać było kilka drzew owocowych, zapewne szczątki sadów, które przez zaniedbanie zniszczały.

Zamówiłem się do jednego domostwa po ogień do

fajki, i znalazłem nieład i biedę, gorszą jak u włościan pańszczyznę odrabiających: bo na kilku morgach roli trudno wyżywić się, a duma szlachecka zrządza, że nie najmują się do roboty, i nie oddają synów do rzemiosła, z którego mieliby porządne utrzymanie, a może i majątek.

Około godziny jedenastéj, wrócił Pan Tymiński z pola, kazał przynieść gąsiorek dobrego piwa, a chłodząc się tym napojem po ciężkiéj pracy, tak mówił:

„Było nas czworo rodzeństwa, wszyscy siedzieliśmy na gromadzie, a nasza cząstka szlachecka, która była czwartą częścią tego co teraz posiadam, nie mogła nas wyżywić. Ksiądz Krzysztof Kluk, świeć Panie nad duszą jego! był proboszczem w Ciechanowcu, założył szkółkę przy kościele parafialnym, upominał i zachęcał szlachtę i włościan z okolicy, żeby do niéj posyłali dzieci swoje. Bóg łaskawy zrządził, że moi rodzice usłuchali jego rady. Ksiądz Kluk polubił mię więcéj niż innych chłopaków, gdyż byłem pilny, uważny i chętnie służyłem do mszy Stéj. Zaopatrywał nas wszystkich w papier i książki: bo wiedział, że biednym naszym rodzicom nie stać było na ich zakupienie, i co dzień na godzinkę przychodził do szkoły. Pilniejszych obdarzał owocami, a za każdym takim podarkiem upominał: „Chłopcy nie gubcie pestek i ziarnek, ale uproście waszych rodziców, niech wam dadzą parę grządków w ogrodzie i zasadźcie tam owe pestki i ziarnka; a jak już podrosną, to za parę lat ja was nauczę co z niemi zrobić, żeby dochować się dobrych i urodzajnych drzew owocowych. Wielu nie zważało na jego radę, ale ja byłem jednym z tych, którzy dochowali się pięknéj owocowéj szkółki. Ksiądz Kluk nauczył mię, jak trzeba szczepić i oczkować drzewka. Miałem ich ze czterdzieści sztuk, a wszystkie w jak najlepszym gatunku. Ojciec pozwolił, żebym obsadził niemi nasz ogród warzywny. Ach! jakaż to była uciecha i radość, kiedy rodzicom moim przyniosłem pierwsze gruszki i jabłka z drzewa zasadzonego przezemnie. Miałem wtedy lat osiemnaście. W lat trzy albo cztery, rozrosły się drzewa, rok był pomyślny na owoce, zebrałem kilkanaście kop wyborowych zimowych gruszek i jabłek; uprosiłem ojca że mię zabrał do Warszawy wraz z towarem moim, dokąd jeździł co miesiąc z zakupionym drobiem, masłem, serem i manną. W Warszawie za owoce dobrze płacą; dostałem po talarze za kopę, uszczęśliwiony, z piętnastu talarami powróciłem do domu. Z każdym rokiem rozrastały się moje drzewa i przybywało nowych: bo ojciec przekonawszy się o pomyślnym skutku mojéj pracy, pozwolił mi tyle przybierać ziemi na mój sad owocowy, ile mi się podoba. W trzy lata potem, już mój ogród przynosił mi pięćset złotych rocznego dochodu, nie licząc tego, co się sprzedało w lecie wisien i porzeczek, a przytem wszyscy w domu jedli owocu do syta, a matka tyle nasuszyła zapasów jabłek, śliwek i gruszek, iż wystarczało do nowego zbioru.

„Przed wieloma laty, kiedy jeszcze mój ogród składał się z młodocianych drzewek, poznałem tę oto moją poczciwą i dobrą Basię, córkę ubogiego szlachcica z Bogutów. I dla niéj także ksiądz Kluk, nasz proboszcz Ciechanowiecki, stał się dobroczyńcą, bo gdy przed nim użalali się rodzice Basi, że mając trzy córki, pewno będą musieli oddać je na służbę do pańskich dworów, bo dla nich ani grosza posagu nie uzbierają, on w tedy rzekł do nich:

— A po cóż macie wasze dzieci wyprawiać gdzieś w świat daleki do obcych ludzi, i to jeszcze na służbę dworską? Ja wam poradzę, jakim sposobem dacie każdéj nienajgorszy posażek. Wszakże umiecie pszczoły hodować?

— Trochę, ale niebardzo dobrze księże proboszczu dobrodzieju, odpowiedział Bogucki. Probowałem parę razy, obsadzałem roje, ale mi zawsze wyginęły w zimie.

— Bo jesteście łakomi i niedoświadczeni, odpowiedział Ksiądz Kluk. Zdajcie to na waszą Basię. Daruję ci moja Basiu, rzekł do niéj, jeden rój osadzony w słomianym ulu. Pójdź do Karasków w sąsiedztwie waszem, poproś odemnie p. Macieja Karasowskiego, żeby cię nauczył, jak masz się z niemi obchodzić. Spodziewam się, że przy łasce Boskiéj, dochowacie się pięknéj pasieki z tego ula.

„Basia pocałowała w rękę księdza proboszcza i podziękowała za podarunek.

„W cztery lata potem, Basia już była właścicielką dwudziestu rojów, z których dziesięć najlepszych zatrzymywała na zimę, a resztę albo sprzedała tym co chcieli zakładać pasieki, albo dymem wygubiwszy, miód i wosk zabierała na sprzedaż. Jest to najprostszy i najlepszy sposób korzystania z pasieki. Z takich dziesięciu rojów miała około dwóch set złotych. Całe gospodarstwo jéj rodziców nie przynosiło tyle.

„Z zachowanych ulów wyroiło się na rok przyszły dwadzieścia, a przynajmniéj piętnaście, znowu zatem mogła sprzedać albo wygubić słabsze, a najlepsze zachować.

„Gdy tak nam obojgu Bóg pobłogosławił, oświadczyłem się o rękę Basi. Była dla mnie życzliwą i nie pogardziła moją prośbą. Owego roku była wielka obfitość miodu i owoców. Miałem już półtora tysiąca złp. oszczędzonego grosiwa, a Basia uzbierała sobie osiemset złotych. Padłem do nóg rodziców moich i mojéj przyszłéj; pozwolili na nasz związek. Przybudowałem dwie izby do naszego dworku, na osobne mieszkanie dla nas; a Basia zakupiła sobie skromną wyprawę i parę krówek, na początek naszego gospodarstwa.

„Od tego czasu już upływa lat trzydzieści, jak nam Bóg błogosławi w pożyciu naszem. Po śmierci ukochanych rodziców, spłaciłem brata i siostry, przykupiłem dwie sąsiednie części i połączyłem je z moją. Zebrałem fundusz na zakupienie osady dla młodszego syna, i po tysiączku złotych na posagi dla córek. A wszystko to jest skutkiem rady i pomocy Księdza Kluka, któremu niech Bóg za to wiekuistem szczęściem odpłaci."

— Czyliż rady tego zacnego męża nie trafiły do przekonania sąsiedniéj szlachty? rzekłem: bo uważam że u sąsiadów Pana Dobr: znać nieład i biedę, zapytałem.

— Z początku naśladowało mnie wielu, odpowiedział pan Tymiński, ale im zabrakło cierpliwości. Jeden i drugi rok niepomyślny na pszczoły, parę lat nieurodzaju na owoce, odstręczyły ich, a przytem starzy wymarli, a młodszym nie chce się pracować. Wolą skupować cielęta, drób, masło, ser, i z niemi wlec się do Warszawy. Co zarobią na tym handelku, to zostawią w karczmach, a gospodarstwo marnieje.

Pani Barbara zawołała nas do stołu. Bryczka moja już była gotowa. Po obiedzie pożegnałem się z tą poczciwą i szanowną rodziną, i pojechałem do Ciechanowca. Z żalem wyznam, że nie zastałem po Księdzu Kluku prawie żadnych pamiątek. Proboszcza nie było w domu, a organista tyle tylko wie-

dział, że przed laty trzydziestu był tu ksiądz, który zbierał kamienie, łapał robaki, zasuszał kwiaty, znał się na lekarskich ziołach i nie jednemu poradził, a przytem hodował pszczoły, lecz po jego śmierci pasieka wyginęła w dwa lata, jak gdyby z żalu za panem swoim.

W tym krótkim obrazku macie wznowioną pamięć prac i dobrych uczynków człowieka, który należy do najświatlejszych i najpożyteczniejszych mężów kraju naszego,

Niestety! jak pamięć Kluka prędko zaginęła w miejscu, gdzie przez lat kilkadziesiąt pracował i gdzie życia cnotliwego dokonał, tak i o pracach Kluka zapomniało młode pokolenie. Zapewne możnaby wyszukać i odnowić wiele przykładów dobroci i uczynności naszego naturalisty; te które wam przytoczyłem, niech będą dla was skazówką jak wiele dobrego można uczynić, małą na pozór i nie kosztowną pomocą.

* * *

Pan Stefan Ciecierski teraźniejszy dziedzic Ciechanowca, uczcił wspomnienie księdza Krzysztofa Kluka, wystawiwszy mu pomnik w jego rodzinnem mieście. Jest to posąg przed kościołem postawiony, wyobrażający stojącego Kluka, z napisem w języku łacińskim, następującéj treści: „Pamięci księdza Krzysztofa Kluka, który w r. 1739 w tem tu mieście ujrzał światło dzienne, i z najwyższą zacnością tym kościołem zarządzał, a dziełami swemi, pierwszy z Polaków, historyją naturalną doskonale napisaną, ojczysty język uposażył. Zyskawszy sławę nieśmiertelną, umarł w r. 1796. Stefan Ciecierski, idąc za radą ukochanego ojca swego Dominika i Jana brata, pomnik ten postawił w r. 1848."

Tablica napisowa otoczona jest wieńcem w półkole, nad którym płaskorzeźba wystawia godłą stanu duchownego. Odpowiednie wielkości téj tablicy, umieszczone płaskorzeźby na trzech innych ścianach pomnika, wyobrażają przedmioty i zatrudnienia, o których Kluk w dziełach swoich z największem zamiłowaniem pisał. Pomnik ten, dzieło naszego rodaka artysty, Jakóba Tatarkiewicza, odkryty został 25 Kwietnia 1850 roku, w obec licznego zjazdu okolicznych obywateli.



Pomnik ks. Krzysztofa Kluka.—(Rysował Tegazzo—wyciął na drzewie Szymborski).

ROZMAITOŚCI.

— Częstokroć zazdrościmy, pożądamy szlachetnego zdrowia, jakiem zazwyczaj cieszy się ubogi lud wiejski, mało pielęgnowany troskliwością ręki ludzkiéj, ale szczodrze wspierany matki przyrody opieką. Bóg, jak mówi Pismo Święte, wszystko pod miarą, wagą i liczbą urządził, i każdego zarówno uposażył.

Co bogacz ma, w drogo-opłaconéj pomocy lekarza i w wskazówkach naukowych, to biedakowi sama ziemia wydaje, to z pod nóg mu wyrasta. Bogacz potrzebuje dla zdrowia dekoktów, mikstur, polewek, cukierków; biedak broni się jakiem liściem, łodygą, wątłym korzonkiem lub wzgardzonym owocem, a obrona ta i środki są stokroć możniejszemi. Wiadomo u nas powszechnie, że lud prosty i dzieci na wsi, chciwie zjadają w miesiącach jesiennych owoce z jeżyny, smaku dość przyjemnego, ale cierpkiego. Jeżyna rośnie pod lasami i na wzgórzach, a każdy ją pozna, po ostrych kolcach. Otóż owe jeżyny, bardzo sprzyjają zdrowiu ludzkiemu. Lekarze w północno-amerykańskiem wojsku, w raportach swych donoszą, że pożywanie jeżyny przez wojsko, oszczędziło rządowi Wasyngtońskiemu miljony na lekarstwach, i dodają, że jeżyna wybornym jest środkiem przeciwko djarji, biegunce i kolkom. Oprócz używania owocu jeżyny w stanie surowym, sporządzać ją jeszcze można, jako galaretę delikatnéj woni i silnego smaku, jako smaczny syrop lub wyborną marmoladkę. W Ameryce, owoce jeżyny zasuszają także i chowają w domu do użycia, w razie wyż przytoczonych chorób.

— W Czarnym Dunajcu na Podhalu Tatrzańskiem, odbywają się szczególne obrządki zwane bursy, czyli stowarzyszenia składkowe, w celu wzajemnéj zabawy i tańców, zakończane w zapust sądem bursowym. Przewodnik burs z Węgierska zowie się hadnagy (hadnadź, dowódca). Zwykle nim bywa stary góral poważany powszechnie. W obec zgromadzenia, czyta przewinienia parobków, mianowicie przeciw moralności, i osądza ich na razy, pytając, czy zgromadzenie pozwala. Poczem kładą winowajcę na ławę, a wykonawca zwinny, z łopatką w ręku, zwaną parol, wywijając nią, tańczy w około, przeskakuje leżącego niedotykając nogami, a w końcu śród śmiechu i radości obecnych, łup go raz i drugi. Dawniéj bursami zwały się także gromady zbójeckie; miały bowiem swego hetmana i kata, który leżące ofiary pochodnią piekł i zabijał.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 21 Kwietnia (3 Maja) 1865 r.